

Pinter, czyli które nogi piękniejsze

Przed 30 laty londyńska prapremiera „Dawnych czasów” została przyjęta entuzjastycznie.

W dramacie Harolda Pintera dostrzeżono nowe słowo dramaturgii, która nawiązując do salonowego dramatu konwersacyjnego pokpiwała z jej żużłej formy, ludząc widzów falsyfikowanymi konfliktami. Na scenie bowiem rozgrywał się dramat cieni, konflikt niewykończonych form. Bohaterowie daremnie poszukujący swojej tożsamości czepiali się strzępów zapomnianej przeszłości, rywalizując o swoje miejsce w życiu innych postaci.

Nie odbierając temu dramatowi niczego z finezji, może bardziej do czytania niż do oglądania, nie sposób nie powtórzyć po raz któryś, że nic nie starzeje się tak szybko jak awangarda. Toteż „Dawne czasy” już w niewiele lat po urodzeniu okazały się bodaj najnudniejszą sztuką Pintera. Trudno bowiem upajać się śmiesznością w istocie sytuacją, potwierdzającą żalosne zagubienie postaci dramatu, które nie potrafią ani same się określić, ani określić się wobec świata. Może wprawdzie tę sztukę o upadku sztuki porozumienia i rozumienia odzyskać kunszt aktorów, pytanie tylko: czy warto? Pinter nie **Czechow**, nadmiernie odizolował swych bohaterów od świata, odbierając im znanie oryginalności. Nic dziwnego, że nie budzą zainteresowania publiczności, ich przeżycia nikogo nie obchodzą, pozostawiają w stanie doskonałej obojętności. Jeśli to było celem dramaturga, to osiągnął swoje.

Jerzy Grzegorzewski ma najwyraźniej sentyment do tego dramatu, grał go kiedyś bez powodzenia w Teatrze Studio. Teraz przedstawił w reżyserii Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej na Scenie przy Wierzbowej Teatru Narodowego. Reżyserka włożyła sporo trudu, aby unowocześnić nieco już zleżałą formę dramatu, dodając rozmaite inkrustacje, m.in. w postaci dokrętek filmowych w stylu **Antonioniego** i mocnych akcentów muzycznych, za pomocą których usiłowała budować daremnie nastrój. Ale nie uratowało to utworu przed nudziarstwem.



Jerzy Radziwiłowicz, Grażyna Szapołowska i Gabriela Kownacka

Zabłąkani beznadziejnie w czeluściach swej wątej pamięci bohaterowie opowiadają o tym, co wydarzyło się lub wcale nie wydarzyło przed 20 laty, dzieląc swymi obsesjami erotycznymi, pijąc kawę, koniak, jedna z nich bierze kąpiel i... po sztuce. Trwa to półtorej godziny z przerwą, ale widz odnosi nieodparcie wrażenie, że trwa o wiele za długo, bo o nic tu nie chodzi albo o niewiele. Cóż z tego, że bohaterowie poszukują swojej tożsamości, albo próbują zdominować się nawzajem, skoro nie umieją tym widzów zainteresować.

Na scenie trwa konkurs piękności: czy Grażyna Szapołowska prezentuje się gustowniej w szarej sukni, czy Gabriela Kownacka ponętniej w białym szlafrocuku. Pani Szapołowska podkreśla zalety uśmiechu i figury, potrząsa załotnie fryzurą i przechadza się zmysłowo. Pani Kownacka nie pozostaje dłużna, okazując nogi. Pomiedzy nimi próbuje zaistnieć Jerzy Radziwiłowicz, odnotujmy, bez charakterystycznej dla siebie manieri dykcji. Niestety, pani Szapołowska szemrze i niewiele

dochodzi do uszu widzów, pani Kownacka mówi (dla równowagi?) za głośno. Pan Radziwiłowicz w sam raz. Dekoracja przypomina odkształcony nieco salon – przez środek przebiega tajemnicze zagłębienie, burzące harmonię, które tworzy pewną przeszkodę dla aktorów. Widz ma zajęcie, popatrując, czy aby któraś z aktorek nie padnie pastwą tej architektonicznej pułapki. Na uwagę zasługuje zresztą postawiona filizanka na pantofelku pani Szapołowskiej, uniesionym (wraz z nogą) ku górze.

N o cóż, dawne to czasy, kiedy Pinter budził autentyczne zainteresowanie publiczności. Dziś przypomina wyskubaną zabawkę, której nie udało się przywrócić niegdyś blasku.

Harold Pinter, „Dawne czasy”, tłum. Bolesław Taborski,
reż. Agnieszka Lipiec-Wróblewska,
scenografia Barbara Hanicka, światło i projekcje Tomasz Wert,
opracowanie muzyczne Stanisław Radwan,
Teatr Narodowy, Scena przy Wierzbowej. Premiera – luty 2000 r.